TYGODNIOWY PRZEGLĄD LITERACKI KOŁA PISARZY Z POLSKI

Rok II. Nr.25 /33/ 151 East 67 Street,New York,N.Y. 18.VI.1942

Matka Boska Częstochowska.

Matka Boska Częstochowska ubrana perłami,
Cała w złocie i brylantach modli się za nami.
Aniołowie podtrzymują jej ciężką koronę
I jej szaty, co jak noc są gwiazdami znaczone.
Ona klęczy i swe lice, gdzie są rany krwawe,
Obracając gdzie my wszyscy, patrzy na Warszawę.
O Ty, której obraz widać w każdej polskiej chacie
I w kościele i w sklepiku i w pysznej komnacie,
W ręku tego co umiera, nad kołyską dzieci
I przed którą dniem i nocą wciąż się światło świeci.
Która perły masz od królów, złoto od rycerzy,
W którą wierzy nawet taki, który w nic nie wierzy,
Która widzisz z nas każdego cudnemi oczami,
Matko Boska Częstochowska, zmiłuj się nad nami!
Daj żołnierzom, którzy idą, śpiewając w szeregu,
Chłód i deszcze na pustyni a ogień na śniegu,
Niechaj będą niewidzialni płynący w przestworzu
I do kraju niech dopłyną, którzy są na morzu.
Każdy ranny niechaj znajdzie opatrunek czysty
I od wszystkich zaginionych niechaj przyjdą listy.
I weź wszystkich, którzy cierpiąc patrzą w Twoją stronę,
Matko Boska Częstochowska, pod Twoją obronę.
Niechaj druty się rozluźnią, niechaj mury pękną,
Ponad Polskę błogosławiąc podnieś rękę piękną
I od Twego łez pełnego, Królowo, spojrzenia
Niech ostatnia kaźń się wstrzyma, otworzą więzienia.
Niech się znajdą Ci, co zdala rozdzieleni giną,
Matko Boska Częstochowska, za Twoją przyczyną.
Nieraz potop nas zalewał, krew się rzeką lała
A wciąż klasztor w Częstochowie stoi jako skała.

I Tyś była też mieczami pogańskiemi ranną
A wciąż świecisz ponad nami, Przenajświętsza Panno.
I wstajemy wciąż z popiołów, z pożarów co płoną
I Ty wszystkich nas powrócisz na Ojczyzny łono.
Jeszcze zagra, zagra hejnał na Mariackiej wieży,
Będą słyszeć Lwów i Wilno krok naszych żołnierzy.
Podniesiemy to, co legło w wojennej kurzawie,
Zbudujemy Zamek większy, piękniejszy w Warszawie.
I jak w złotych dniach dzieciństwa będziemy słuchali
Cichy dzwonek sygnaturki, co Cię wiecznie chwali.

Jan Lechoń

H a ł d y   ś p i e w a j ą.
/ W dwudziestolecie powrotu Śląska do Polski./

"Katowitzer Zeitung" z kwietnia b.r. donosi o procesie, wytoczonym dziesięciu górnikom śląskim, którzy w gospodzie "prowokacyjnym śpiewaniem polskich pieśni narodowych świadomie obrażali godność narodu niemieckiego". Inna wzmianka w "Breslauer Tageblatt" podaje wiadomość o aresztowaniu rodziców dzieci, bawiących się na hałdach, które "przechodzący oddział wojska niemieckiego powitały bezczelnemi kupletami śląskiemi".

Skojarzenie obu faktów z gwałtownością reakcji niemieckiej pozwala wyciągać wnioski radosne i krzepiące. Walka z pieśnią ma swoją wiekową wymowę gry, toczonej o duszę śląskiego ludu, który przetrwał Gerona, Habsburgów, Fryderyka II, Hoersinga, Narodni Vybor i zwycięsko trwa w oporze nadal. Żeby zrozumieć i docenić siłę tego oporu - trzeba poznać Śląsk i Ślązaka.

"... Śląsk dzisiejszy" - pisze Gustaw Morcinek - "to nietylko kominy, kopalnie, ziemia zczerniała, Beskidy i uroczyska leśne. To tylko wtórny obraz jego człowieka. W zmaganiu się z przemocą obcych panów, w upartej walce z nieurodzajną ziemią, w trudzie nieludzkiej pracy w kopalni i hutach, w borykaniu się z wykorzystującym go obcym kapitałem - zbiorowa dusza Ślązaka przetapia się na szlachetny metal, dzwoniący jak dzwon złoty, ostry jak klinga.

Ślązak stał się człowiekiem o stalowych nerwach, o twardych dłoniach, mocny, szorstki, zwycięski i o czującem sercu. Stworzył ze swej ziemi środowisko nawskroś demokratyczne i zdemokratyzowane, z którego wyrasta nowy typ Polaka o niezwykłych walorach społecznych i narodowych. Zorganizowany w zwartą i karną masę o wielkiej dyscyplinie wewnętrznej, nie znający kompromisów, prostolinijny, świadomy swej godności ludzkiej, bez cienia serwilizmu, obcy zróżniczkowanej gdzieindziej hierarchii społecznej - buduje nową Polskę. I te typy, które się może gdzieindziej przeżyły - on tutaj tworzy na nowo. Przedewszystkiem w ciągu wieków kształtował z siebie nowoczesny typ dawnego rycerza kresowego, co przyrzekł sobie stać opornie na swej ziemi, zamieniając ją jakoby w warowny bastion polskości....."

Takim był górnik i chłop śląski na przestrzeni wieków i takim został. Lud, który wydał Lompę, Bonczyka, Ligonia, Michejdę, Damrotha, Londzina, Miarkę i Korfantego, lud, który trzykrotnie chwytał za karabin i szedł w powstańczych szeregach, by samemu zadecydować o granicach ojcowizny - nie ulegnie i dziś. Bo modli się i śpiewa po polsku. W tym le-

ży jego kamienna i niewzruszona potęga.
Przed cudownym obrazem Matki Boskiej Piekarskiej, przed krucyfiksem cieszowskim, przed wizerunkiem Panienki Świętej w Lubecku, w drewnianych archaicznych kościółkach na całym Śląsku Czarnym, Białym i Zielonym - modlić się wolno po polsku. Choćby dlatego, że modlitwa jest myślą nieuchwytną dla szpicla, pacierz - rozmową z Bogiem, prowadzoną bez świadków w ojczystym języku, tymsamym, którego uczył ojciec i w którym matka śpiewała nad kołyską.
Na Śląsku już tańczyć nie wolno. Ani trojaka, ani zagrodnika ani grożonego. I śpiewać nie wolno. Ale piosenka jest lotna i zaraźliwa. Urodzona przed stuleciem wśród płomieni pieców hutniczych, w huku kilofów, świdrów i wrębiarek, biegnie przez hałdy i oszkwary, radosna i śmiała. Od Królewskiej Huty po Zamek Cieszyński nad pra-polską Olzą, Karwinę i Frysztat, od Tarnowskich Gór do Istebnej i ginie w królewskiej zieleni Beskidów, by za chwilę powrócić do Białego Szarleju, Murcek i trójkąta Trzech Cesarzy, gdzie na szosie podchwyci ją przechodzień i poda dzieciom na hałdach, by witały oddziały niemieckie "bezczelną melodią śląskiego kupletu i prowokacyjnemi słowami:

"Ej swoboda, swoboda, swobodziczka,
Co mi wykładała mamuliczka,
Jeszcze mnie w kolebce kolebała,
Już mi o swobodzie śpiewowała".

Winnych obrazy niemieckiego narodu zaaresztowano. Zaaresztowano nawet rodziny. Ale piosenka uciekła. Skryła się w domach i kościołach, w kopalniach i zagrodach wśród starych przyjaciół, by pewnego wieczoru uróść i spotężnieć, stać się polską Marsylianką, która ciśnie w spracowane ręce górnicze broń silniejszą od karabinów: wiarę w rodzącą się Polskę i śląski opór walki. Stanie się mścicielem lat, w których ją tępiono i goniono po hałdach, strzelano do niej z karabinu w obłędnej myśli, że można zabić - pieśń.

- - -

Dwadzieścia lat temu, w dniu 20 czerwca 1922 r. po spełnieniu obowiązku przez powstańca śląskiego - wojska polskie objęły czarną, białą i zieloną ziemię po sześćsetletniej rozłące z Macierzą. Przez tych sześćset lat, niezależnie od zmiennych kolei losu, krwawych walk i tragicznych katastrof dziejowych - mówiono na Śląsku po polsku. Kilka lat nazistowskich nie stoi w żadnej proporcji do sześciu stuleci. Hałdy dalej śpiewają po polsku.

Jerzy Tepa

Zgon w purpurze.

/Z powodu pobytu w Nowym Yorku wybitnego pisarza podróżniczego Arkadego Fiedlera, dajemy poniżej piękny fragment jego książki o Madagaskarze, która ukaże się niebawem w języku angielskim w Anglii i w Stanach Zjedn. Równocześnie ukaże się tegoż autora książka o naszych lotnikach pod tyt: "Dywizjon 303" w języku polskim, angielskim, portugalskim, hiszpańskim i szwedzkim./

Świtaniem każdego dnia, gdy na szczytach górskich świeci już słońce, lecz na zboczach wisi jeszcze gęsty pierścień nocnych chmur, stary Betrara zrywa się do swego codziennego biegu. Goni jak wariat przez całą wieś Ambinanitelo, by rozgrzać przeziębłe nocą ciało i by wypędzić

nie może: siedzi w nim sam demon rantutru.

Betrara dobiegłszy do mej chaty, przystaje na chwilę i wtedy pokazuje mi swe cierpienie. Betrara cały straszliwie się trzęsie, trzęsie się bez przerwy dniem i nocą.

Sny w dolinie Ambinanitelo mają potęgę boskiej wyroczni, więc gdy Betrara, trzydzieści lat temu, otrzymał we śnie nakaz zdobycia zęba rantutru, musiał usłuchać. Zwalczywszy strach, poszedł do puszczy i rzeczywiście na gałęzi znalazł rantutru w postaci kameleona. Demon ów zabija zazwyczaj wszystkie zbliżające się stworzenia, tym razem jednak człowieka nie zabił. Betrara ściągnął go na ziemię, udusił, lecz zmorzony wzruszeniem, sam zapadł w sen. Gdy następnego dnia się zbudził, ujrzał rantutru siedzącego znów na starym miejscu i przerażony uciekł do wsi.

Lecz sny są uparte. Betrara znowu śnił o zębie, więc nazajutrz wszystko się powtórzyło: poszedł do lasu, zadusił powtórnie kameleona i legł pod drzewem nieprzytomny. Cóż, kiedy zwierzę, jakże krnąbrne, odżyło wraz z Betrarą. Wtedy człek, owładnięty obłędem rozpaczy, zaczął nożem siec demona. Rozsiekł go na miazgę i co gorsza, roztłukł na proch również jego zęby.

Zabił rantutru, lecz snu nie spełnił, zęba nie zdobył nieszczęsny szaleniec. Ściągnął na siebie tylko srogą pomstę: odtąd przez trzydzieści lat trzęsie się bezustannie, wykonując te same ruchy, jak gdyby wciąż jeszcze krajał rantutru. Ogłupiały, wychudzony, jak szczapa, gorączkujący, pędzi przez wieś, by uciec od swej zmory - widmo zemsty mrocznych sił, przedmiot pogardy zdrowych sąsiadów, lęk dzieci.

I smutny los mego kameleona, cichego przyjaciela, siedzącego skromnie na krzaku obok mej chaty. Któregoś dnia Betrara spostrzega go i dostaje napadu. Doskakuje, uderza go wściekle prętem. Pięść obrońcy zdziela furiata za późno: chroni od drugiego uderzenia, lecz pierwsze jest już śmiertelne.

Kameleon syczy z boleści i wygina swe ciało; ma widocznie złamany kręgosłup. Po chwili wyprostuje się, jak gdyby nic nie zaszło, natomiast skóra jego, przedtem jasnozielonkawa, szybko ciemnieje. Staje się coraz ciemniejsza, w końcu staje się zupełnie czarna. To już nie mój kameleon siedzi na gałęzi, lecz dziwaczny, ogromnie czarny węgiel, wszystkim rzucający się w oczy. Kameleon nie potrzebuje już barwy ochronnej: śmierć jego przychodzi w rażącej czerni.

Lecz okazuje się, że to jeszcze nie śmierć. Kameleon się rusza i budzi nadzieję. Schodzi na dół, raczej zesuwa się bezwładnie, na ziemi przylega. Pozostaje na ziemi i to jest najgorszy znak. Zdrowy kameleon nie cierpiałby ziemi, uciekłby na gałąź.

Godzina mija bez zmiany, potem następuje osobliwe wydarzenie. Kameleon z czarnego robi się różowy. Prawdziwie różowy jak jutrzenka, jak policzek dziecka. Zaczyna się to od przodu gęby, przechodzi na całą głowę powoli, niepostrzeżenie, lecz nieustannie sunie dalej na kark, na przednie nogi. Gdy róż dochodzi do grzbietu, głowa znowu się zmienia i czerwienieje, nabiera coraz żywszego koloru, aż w końcu zaczyna cała płonąć w purpurze. Po różowej fali posuwa się przez ciało konającego kameleona fala purpury, najgorętszej, najjaskrawszej purpury.

Zdumiewający, niesamowity stwór! Ma niezwykłe kształty ciała, ma dziwne obyczaje, sieje nieprawdopodobne klechdy, rzuca tajemnicze choroby i oto nawet kona nadzwyczajnie: kona w płomienno-czerwonym kolorze, który gdzieindziej jest kolorem namiętności, podniecających kwiatów, pawich skrzydeł motylich, bujności życia, ognia.

Patrzę na kameleona jak urzeczony. Przechodzący mieszkańcy wsi nie patrzą na zwierza, lecz na mnie. Jestem dla nich ciekawszym zwierzem: a może wybiła nareszcie złowroga godzina białego vazahy i demon

rantutru go opanował? - Patrzą na mnie wyczekująco, czujnie, z podełba.
Przed zachodem słońca kameleon ostatecznie kona. Już niema wątpliwości, że kona cały, od głowy do ogona, w najwspanialszej czerwieni - i tak po śmierci pozostaje. Szaleńczy rodzaj śmierci: to chyba zwycięski śpiew lub potężny hymn. Może to wzniosła apoteoza, a nie śmierć?

Tego wieczoru jakoś mocniej oddycham ciężkim powietrzem doliny, pewniej patrzę brązowym ludziom w oczy i chciałbym wciąż nucić piosenki: widocznie coś z magii czerwieni i mnie się udzieliło.

Wieczorem spraszam kilku sąsiadów na szklankę rumu i wyprawiam stypę. Każę im pić śmiało i weselić się tak, jak ja się weselę. Piją, lecz kompanii nie dotrzymują. Piją na ponuro i obawiają się jakiejś zasadzki.

-Niema zasadzki!! - wołam - Pijemy na piękną śmierć kameleona w barwach!...

To niezrozumiałe, to niepokojące i tym bardziej podejrzane. Piją i milczą. Chcieliby dociec prawdziwej przyczyny mej niezwykłej radości. Wreszcie stary Dzinarivelo - ten sam, który przed kilku dniami nad brzegiem rzeki zawierał przeciwko mnie wrogie przymierze z mimozami, Dzinarivelo odzywa się i pyta:

-Czy w twej ojczyźnie kameleony nigdy nie umierają na czerwono?

-Nie umierają, bo ich tam niema - pouczam go z uśmiechem. - Zato bywa, że ludzie w mej ojczyźnie, poświęcając się dla jakiejś ważnej sprawy, giną czasem tak samo pięknie jak dzisiejszy kameleon...

Hoho, tego już dla nich za wiele! Wyraźnie pachnie w tej chacie ohydnym podstępem, groźnym, bo nieznanym. Nie wiedzą, z której strony uderzy nieszczęście i wolą ujść za wczasu: czyżby biały człowiek przemógł demona rantutru i dlatego był taki wesoły? Przegrali tego wieczoru. Dopijają z pośpiechem i zmykają wcześnie, jeden za drugim.

Wychodzę za nimi na dwór. Księżyc w pełni. Kameleon leży wciąż jeszcze na ziemi. I wciąż nieprawdopodobnie jaskrawa jego czerwień: nawet promienie księżyca nie zdołały stłumić jej blasku i oto kameleon świeci w nocy mocną, purpurową plamą.

Plamą tak purpurową, że wyraźnie zamienia się w jakiś okrzyk życia i zwycięstwa.

Zwierz, raniony na śmierć mizernym obłędem człowieka, ginąc okrywa się królewską purpurą.

Arkady Fiedler

O k r z y k z c a ł e g o s e r c a.

"Życie nie jest ideałem", "Życie jest życiem", "Ludzie są ludźmi" "Polityki nie mogą robić anioły" - oto co przeciętnemu obywatelowi świata odpowiadają zawodowi politycy, ilekroć tenże obywatel pozwala sobie wyrazić zdziwienie, że pomimo pięknych haseł, które się głosi, została popełniona w polityce, albo przygotowuje się jakaś, mówiąc po warszawsku "fenomenalna granda". I jednocześnie ci politycy, jeśli chodzi o oficjalne wystąpienie wobec świata i ludów, nie mówią o niczem innem tylko o "lepszej przyszłości świata", o "pokoju, opartym o najszlachetniejsze ideały ludzkości", o "współpracy narodów, opartej o wzajemne zaufanie" i zwłaszcza o "poszanowaniu praw małych narodów".

Nie mogę, jeśli chodzi o rzeczy polityczne uważać się za naiwne dziecię; dziesięć lat spędziłem w służbie dyplomatycznej i miałem aż

nadto sposobności przekonać się, że niestety "życie nie jest ideałem" i "ludzie są ludźmi". Nie wyobrażam też sobie w najbliższej przyszłości dnia, w którym na dany przez Międzynarodową Komisję znak b, kanclerz Brüning i Tomasz Mann rzucą się do nóg naszemu generałowi Sikorskiemu i z płaczem oddadzą mu dobrowolnie Prusy Wschodnie, pan Benesz zasiądzie do partii bezika z regentem węgierskim, pan de Valera spędzi czarujący wieczór, ciągnąc whisky z premierem Churchillem, a potężny Gruzin z Kremla "rozkaja się" przed prezydentem Smetoną i doda mu ciepłą ręką parę rosyjskich powiatów do uznanej za naprawdę niepodległą republiki litewskiej.

Ale pomimo tych doświadczeń, pomimo że rozumiem aż nadto dobrze, że polityka musi czemś różnić się od bezładnego demolowania mieszkania, do czego musiałoby się w praktyce sprowadzić wcielanie w życie ideałów bez żadnych względów na taktykę, dyplomację, psychologię, są chwile w życiu politycznym, są wypadki, które sprawiają, że czuję się jak ów nieświadom żadnych trudności i komplikacji tego świata obywatel i wydaje mi się, że jednak powinna istnieć jakaś równowaga pomiędzy tem co się mówiło głośno a co się robi pocichu, że trochę obłudy od biedy uchodzi, ale zadużo jest to stanowczo zadużo i że nie trzeba doprowadzać świata do tego, aby przeciętny obywatel zwątpił w sprawiedliwość, wolność, szlachetność i uznał raz na zawsze, że wszelkie ideały jest to, mówiąc językiem dalekiego, drogiego Wiecha, "pic i nawalanka".

Jestem od pewnego czasu bardzo zgnębiony, bardzo zamyślony i jest bardzo wielu Polaków i bardzo wielu naszych sąsiadów z bardzo demokratycznych krajów, którzy są też zgnębieni i zamyśleni i nie chce im się czytać różnych artykułów o "poszanowaniu praw wszystkich ludów". I odrazu muszę powiedzieć, że wcale nie uważam, aby sytuacja świata była beznadziejna, aby trzeba było opuścić ręce i pozwolić złym i obłudnym ludziom robić co im się podoba i z tego, że świat nie będzie nigdy ideałem nie wynika wcale abyśmy nie mieli zawsze i pomimo najcięższych zawodów do tego dążyć. I napewno im więcej spotyka nas rozczarowań z jakiejś strony tem bardziej powinniśmy się wiązać z tem co jest na świecie szlachetne, lojalne, nie zepsute, skupiać się koło tych ludzi, którzy chcą naprawdę i pracują nad tem, aby ten nie najlepszy świat był najlepszy jaki być może.

Jest coraz więcej znaków na ziemi i niebie /to nie żadna przesada ani poetycka metafora/ które świadczą, że prezydent Roosevelt postanowił zrobić wszystko, co od niego zależy, aby na świecie było znacznie lepiej, na długo lepiej, aby ludzie na sto lat przynajmniej, zanim znów się nie zdeprawują i nie popadną w ten obłędny cynizm, który zgubił Europę, mogli bez zawstydzenia mówić o ideałach, korzystać z wolności, aby zostały naprawdę i wszystkim wielkim rekinom przytarte krwiożercze zęby i żeby świat rzeczywisty choćby w przybliżeniu przypominał ów świat idealny, o którym różni politycy wygłaszają piękne mowy.

I coraz więcej ludzi czuje, że prezydent Roosevelt jest to właśnie taki wielki człowiek, o jakiego teraz najtrudniej, jakiegośmy oddawna nie mieli, który ma tyle przemyślności, ile trzeba, aby go nie wyprowadzono w pole, aby dopiąć swego celu, ale który, jak jego szlachetny choć niedość przemyślny poprzednik prezydent Wilson, myśli przedewszystkiem o polepszeniu losu ludzi i narodów i ma tę ambicję, aby zostać w historii takim samym przyjacielem człowieka jak Washington i Lincoln.

I dlatego przedewszystkiem zabiega on, aby Stany Zjednoczone miały flotę, lotnictwo i armię większe od wszystkich innych mocarstw świata, aby były tak potężne, żeby odebrało to na długo wszystkim amatorom cudzej ziemi ochotę sięgania po to, co do nich nie należy; niema też wielkiej nadziei dla różnych wielkich spryciarzy tego świata, aby

zdołali podejść prezydenta Roosevelta,uzbrojonego w tak realne argumenty.
Nietylko tak zwany szary człowiek, stojący zdala od wielkich machinacji politycznych, ale wszyscy ludzie, mający dosyć zarówno mordów, katowania, więzień jak cynizmu i obłudy,pragną jakiegoś symbolu polityki mocnej a szlachetnej, bohaterskiej a ludzkiej, chcą wierzyć w jakiś autorytet prawdziwy, omylny ale dostępny dla wszystkiego co ludzkie, pobłażliwy ale nieugięty tam, gdzie gotuje się zamach na wolność, na sprawiedliwość.

I tylokrotnie rozczarowani, tyle razy oblewani zimną wodą z coraz większym wzruszeniem patrzę na pogodną, piękną twarz starszego pana, na którym nie ciąży żaden kompromis niezgodny z jego ideałami, który spokojnie, z uśmiechem a nieugięcie stara się je wcielać w życie.

I jeśli jest jakiś okrzyk, który wszyscy miłośnicy prawdziwej wolności gotowi są wznieść w każdej chwili bez obawy, że zabrzmi fałszywie, to jest nim ten, który proponuję naszym czytelnikom wznieść wraz ze mną:

"Niech żyje prezydent Roosevelt!"

Jan Lechoń

P o w a ż n e   c z y   n i e p o w a ż n e ?

Zabawne są czasami skojarzenia myślowe. Czytając rozmaite wystąpienia dziennikarskie na tematy polityczne, przypomniała mi się plutarchowa anegdota o groźnym przeciwniku Rzymu, Pyrhusie. W Ambracji odbywała się uczta, na której jeden z podchmielonych młodzieńców urągał Pyrhusowi. Młodzieńca sprowadzono przed oblicze wielkiego wojownika, który go zapytał, czy istotnie użył słów uwłaczających. Młodzieniec odpowiedział: "Tak królu, wszystkie te słowa użyłem przeciwko tobie - i powiedziałbym znacznie więcej, gdybyśmy mieli więcej wina". Pyrhusa ta odpowiedź ubawiła do tego stopnia, że młodzieńca uwolnił.

Wprawdzie nie mamy najmniejszej podstawy, by Polskę, Łotwę, Litwę i Estonię porównać z Pyrhusem, ale wystąpienia polityczne takiego pisma katolickiego, jak "The Commonweal" przypominają chyba niedorzeczność nie całkiem trzeźwego młodzieńca. Nadto gdyby świat zechciał użyczać posłuchu politykom tego pokroju, wolne narody łacno mogłyby odnieść zwycięstwo - pyrhusowe.

Nie chce poprostu pomieścić się w głowie, że wpływowe czasopismo reprezentujące ideały katolickie, mogło z takim naiwnym ferworem przekonywać, że pretensje Rosji do Litwy, Estonii, Łotwy i połowy Polski są uzasadnione, nawet umiarkowane, nawet sprawiedliwe, i to dlaczego? - ponieważ wiernie odzwierciedlają politykę carów! Gdyby Rosja - pisze pomysłowy strategik - nie zajęła przed samą wojną tych obszarów, znalazłaby się dzisiaj w znacznie trudniejszej sytuacji militarnej. A więc - według jego logiki - wolno zajmować cudze kraje, wolno miliony ludzi wtrącić w niewolę, by zabezpieczyć sobie bezpieczeństwo - i to przed Niemcami, które po wojnie raz nazawsze mają być rozbrojone. Czy to jest zgodne z etyką katolicką i czy to pozostaje wogóle w harmonii z głęboko moralnym instynktem politycznym narodu amerykańskiego? Nam chyba wypadnie odnieść się do tych wystąpień, jak Pyrhus odniósł się do winem odurzonego młodzieńca: machnąć na to ręką z uśmiechem wzgardy. Ale co na tego

rodzaju, wcale nie winem pachnące, wystąpienia rzekomego polityka katolickiego powiedzą tacy katolicy, jak głęboki myśliciel Jaques Maritain, który w swoim pięknym orędziu do ludów wolnych pisał między innymi: "W wyniku ostatecznym ludzie mimo wszystko są tymi, którzy kują oręż podczas burzy, w wichrach jej odnajdują świeży powiew człowieczeństwa - i w końcu wreszcie tryumfują nad machiną śmierci i zniszczenia".

Byłoby z naszej strony uchybieniem niegodnym, gdybyśmy zbytnio do serca brali tych polityków, co tyleż mają pewności siebie ile ignorancji. Ostatecznie mamy nad nimi tę wyższość, że cały nasz naród walczy właśnie o to, by oni mogli narezonować się do syta, bez narażenia się na bat hitlerowski. I jesteśmy dumni, że znaleźliśmy się w szeregu z żołnierzem amerykańskim, walczącym o to, by po wojnie świat wyzwolić od wszelkiej strupieszałości myśli i zakłamania. By zasady etyczne żyły nie w frazesach, lecz zapadły głęboko w serce odrodzonych narodów.

My Polacy mamy to do siebie, że fanatycznie wierzymy w naszą przyszłość. O tę przyszłość walczyliśmy cały wiek i nadal walczyć będziemy wśród trudności, o których wyobrażenia nie mają różni lekkomyślni politycy. Dlatego wierzymy również, że niezadługo polityk z katolickiego pisma "The Commonweal" będzie mógł przyjechać do tej właśnie części Polski, którą chce oddać Rosji. Zastanie napewno nasz strudzony w walkach lud, modlący się w kościołach żarliwie, śpiewający dziękczynne pieśni za wybawienie z niewoli, pieśni, które często liczą sobie po kilkaset lat. Niechaj nasz polityk nie zawaha się i wejdzie w sam środek tego szlachetnego ludu. Zostanie przyjęty gościnnie, z chrześcijańską cnotą przebaczenia, bo to jest lud - naprawdę katolicki...

Zenon Kosidowski

Time bomb. — Powieść

Rozdział 7.

Wanda była wdzięczna profesorowi. Tak taktownie zakończył żartem tę niemiłą dla niej sytuację. Nadrabiając miną wróciła na swoje miejsce, tym bardziej że papieros właśnie skończył się i zabrała się do szycia nogawki swojej pyjamy. Z pod oka jednak obserwowała wszystkich. Przez chwilę jeszcze chciało się im śmiać z niej. Ten głupi asystent wsadził cały nos w filiżankę, żeby tego nie pokazać. Ale potem uspokoili się i zaczęli rozmawiać o czymś innym.

Jedna tylko Mrs White wzięła wszystko poważnie.

-Pan profesor powiedział bardzo dobrze. Jeżeli co na Niemców pomoże, to tylko nauka chrześcijańska - zwróciła się do Wandy, oczekując od niej odpowiedzi. Ale Wanda była zła na staruszkę. To z jej namowy zaczęła z tym Pismem Świętym - i tak się skompromitowała. Postanowiła więc, że w żadne rozmowy nie da się już wciągnąć. Zwłaszcza przy tych doktorach! Będzie milczała i przysłuchiwała się rozmowom innych.

Mrs Karfunkel nie wierzyła w możliwość wpływu religii na młodych Niemców. Mają oni swoją religię, która w ciągu tygodnia przeniosła jej uśmiechnięty Wiedeń w ponure średniowiecze. Studenci Uniwersytetu rzu -

cali książki na płonące stosy i rabowali mieszkania Żydów. Dzieci denuncjowały własnych rodziców i patrzały spokojnie, jak wywożono ich do obozów koncentracyjnych. Kto był uczciwy musiał w swym rodzonym mieście kryć się, żeby nie wpadać w oczy temu młodemu pokoleniu. Szczęśliwi, któ rzy mieli pieniądze na przekupienie stróżów nowego porządku i uciekli zagranicę, jak ona, która już nigdy nie zobaczy swojego Wiednia. Choćby wszystko wróciło do dawnego porządku, ona tam nie wróci, bo nigdy już nie uwierzy Niemcom. Mrs Karfunkel podniecały próby sprzeciwu Mrs White. Jeżeli Niemcy mogli popaść w takie zbrodnie, widocznie mieli ukryte zdolności, których nikt nie podejrzewał w nich. A trudno wierzyć, że przegrywając wojnę od razu zdolności te stracą. Wystarczy zresztą - Mrs Karfunkel podniecała się co raz bardziej - popatrzeć na te zwierzęce twarze grasujące dziś tam z rewizjami po żydowskich domach, żeby nie łudzić się wiarą w jakąś zmianę!

Wanda z trudem powstrzymywała się, żeby nie wmieszać się w rozmowę. To nie prawda o tych zwierzęcych twarzach! Opowiadania dla małych dzieci. Tylko w kinie czarny charakter idzie w parze z zwierzęcą twarzą. U Niemców spotyka się najczęściej regularne rysy, oczy szczere, twarze kulturalne, ładne, nie raz piękne. Wierzyć się nie chce, że człowiek, który tak wygląda, jest zbrodniarzem. I to trzeba wiedzieć o Niemcach, żeby nie wierzyć ich twarzom!

-Twarz nic nie znaczy - odpowiedziała Mrs White, jakby czytała myśli Wandy.

-Pewnie że nie, ale trzeba zobaczyć ich całe zachowanie się, ich butę, pewność siebie, bezczelność...- gorączkowała się Mrs Karfunkel.

I to nieprawda! Ich zachowanie się bywa często bez zarzutu. Przeważnie są to ludzie bardzo dobrze ułożeni. Widywała często między nimi ludzi subtelnych, wrażliwych, nieraz ujmujących nieśmiałością. I o tym powinni wszyscy wiedzieć, żeby nie wierzyć ich subtelności. Sam Heydrich wielki dygnitarz Gestapo, którego pokazywali jej na ulicy, wyglądał na człowieka łagodnego, przystępnego i uprzejmego.

-Bo trzeba zajrzeć w serce człowieka, żeby wiedzieć jaki jest naprawdę - westchnęła Mrs White.

Naiwna staruszka! I Wanda tak myślała i w jedno serce zajrzała! Można patrzeć w samo serce i też nic się nie zrozumie, bo to serca...

-Ci zbrodniarze nie mają serc wogóle - odpowiedziała co raz gorętsza Mrs Karfunkel.

Wandę aż podrzucało. Szkodliwe jest powtarzanie takich bzdur, bo nie pozwala nam poznać prawdziwych Niemców! Potem ktoś, widząc u Niemca serce, pomyśli że to wyjątek i zaufa mu. A to serce łatwo zobaczyć, bo mają oni serca. Nawet bardzo sentymentalne. W Warszawie chodzili do kawiarni i godzinami słuchali sentymentalnej muzyki. A potem ci sami ludzie urządzili karną ekspedycję w Wawrze i wystrzelali stu szesnastu niewinnych i bezbronnych ludzi. Zupełnie nie można ich zrozumieć. Nigdy nie wiadomo, czego się po nich spodziewać. Ten sam człowiek, który szczerze kochał zwierzęta, potem... Ach, gdyby mogła opowiedzieć, co w Warszawie przeżyła! Bardzo trudno jej było powstrzymać się, bo Mrs White znowu zwróciła się do niej.

-Jak to pani powiedziała temu oficerowi? Że jeżeli człowiek zbłądził i jeżeli nawet popadł w straszne grzechy, to jeszcze nie znaczy, żeby miał zawsze zostać grzesznikiem i nigdy nie miał poprawić się.

Wanda rzuciła okiem na doktorów. Byli, dzięki Bogu, zajęci rozmową i nie słuchali.

-Żadna religia nie poprawi takiego - odpowiedziała Mrs Karfunkel ku oburzeniu staruszki.

-Tak nie można mówić! To grzech! Kościół poucza inaczej. O nikim

nie można powiedzieć, że będzie potępiony.
Wanda nie mogła dłużej słuchać tego.
-To samo słowo za słowem powiedziałam do... jednemu oficerowi Gestapo w Warszawie... a on słuchał i kiwał głową i uśmiechał się... a potem wyrzucił z trzeciego piętra starą Żydówkę przez okno!
Powiedziała to cicho i spokojnie, tak żeby doktorzy nie słyszeli, a mimo to ulżyło jej. Staruszka zaniemówiła.
-Jezus Maria! To niemożliwe... - szepnęła po chwili.
Niemożliwe? Doktorzy byli wciąż zajęci sobą, więc Wanda wyjaśni jej dokładniej. Tym bardziej, że Mrs Karfunkel ma tryumfującą minę, choć gadała same głupstwa.
-Ja sama myślałam "niemożliwe", bo bardzo ładny chłopak był, a nie wcale zwierzęca twarz - zwróciła się do Mrs Karfunkel. - I nieśmiały, a wcale nie bezczelny. I miał nawet serce! Tak, tak! Całkiem porządny człowiek wyglądał. Miał naprzykład kanarka - Żydom ukradł na rewizji - to ciągle jadł mu z ust cukier i siadał mu na głowie i strasznie go kochał. A jak raz zjadł naszego chleba i zachorował na żołądeczek, ten kanarek, nie on - wyjaśniła - to tak mi dziękował, jak go wyleczyłam! I ten sam człowiek - zbrodniarz. Albo naprzykład miał kaktusa - też Żydom ukradł - to zawsze sam podlewał! - Mówiła cicho i spieszyła się, żeby prędko dojść do końca, ale kaktus dziwnie zainteresował Mr White'a.
-A co? Czemu? - spytał nagle, tak że doktorzy odwrócili się.
Mr White miał ambicję brania udziału w rozmowie. Dotychczas jednak ograniczał się do wodzenia po wszystkich oczyma, uśmiechania się i potakiwania, choć nie wiedział o co chodziło. Mrs White znała tę ambicję męża i miała na nią środki. Gdy o co zapytał odpowiadała, żeby nie dyskredytować jego ułomności, ale tak żeby nie rozumiał o co chodzi i nie pytał więcej.
-Bo kaktusy sam podlewał - odpowiedziała krótko. Mr. White nie był jednak zadowolony tym wyjaśnieniem.
-Komu? - zapytał.
-Żydom - odpowiedziała zdawkowo, stosując swoją metodę. To jednak wywołało zupełnie niespodziewaną reakcję. Mr. White mimo protestów żony zwrócił się z uprzejmym uśmiechem do Niemca.
-Pan? To bardzo ładnie.
Niemiec był zaskoczony zachowaniem się starszego pana i nie wiedząc o co chodzi, od wypadku przedstawił się. /Ciąg dalszy nastąpi./

Antoni Cwojdziński

Poszukujemy numerów 1-go, 2-go i 5-go Roku I-go "Tygodniowego Przeglądu Literackiego. Abonentów, którzy byliby gotowi odstąpić nam powyższe numery, uprzejmie prosimy o przesłanie ich pod adresem redakcji z podaniem kosztów.